

MATYLDA PIOTROWSKA

POEZYJE



Kolekcja
Emila Kornasza

WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1912

POEZYE

MATYLDA PIOTROWSKA



POEZYE



**Kolekcja
Emila Kornasia**

WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1912



CM WEN 331896

KRAKÓW — Druk W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr ³⁴¹...../201⁴/...^{CM}...

MATCE MOJEJ
POŚWIĘCAM

MOJA PIESŃ.

Rozkołysana, roz tęskniona,
Pieśń w mojej duszy łka i kona.
I zmartwychwstaje tchnieniem bożem,
Krążąc, jak mewa ponad morzem.

Fala rozmodleń cichych płynie,
I w dum bezsennych gra godzinie,
I od łez moich tak się śnieży,
Jak biała mewa u wybrzeży.

W chaosie zwątpień i walk burzy,
Niczyje echo jej nie wtórzy.
Mknie z nad otchłani ku otchłani,
I nigdzie niema dłań przystani!

Rozkołysana, roz tęskniona,
Samotnie w duszy łka i kona,
I zmartwychwstaje tchnieniem bożem,
Krążąc, jak mewa ponad morzem.



DO KOLEGÓW.

Z jednego gniazda, jak lotne ptaki,
W różne rozlecim się strony
I w świat poniesiem sztandar jednaki,
A za nim pójdą miliony!

Dalej więc, bracia, dla prawdy słońca
Pracujmy z pieśnią swobody.
I kraj nasz zejdźmy z końca do końca,
Wnosząc weń życia zarody.

A jeśli który, walką znużony,
Czoło pochyli ku ziemi,
My go bratniemi wesprzem ramiony,
Rozgrzejem pieśniami swemi!

Z PIEŚNI ROBOTNICZYCH.

Długo przemoc nas gnębiła,
Gryząc życie, pijąc krew.
Dziś my wiemy, że w nas siła
I przyszłości leży siew.

Dziś my wiemy, że na świecie
Wszystko dziełem naszych rąk,
Kosztem nędzy, co nas gniecie,
I głodowych kosztem mąk.

Wieluż z nas ginęło marnie,
Przeklinając życia dni,
Czy kto zważał na męczarnie,
Czy kto liczył nasze łzy?

Myśmy światu wszystko dali:
Pracę, życie, łzy i krew
Niech się przeszłość w gruzy wali,
W nas przyszłości leży siew!

PIOSNKA MAJOWA.

Jakże na ziemi straszną i smutną
Bezbrzeżna nędzy toń!
Choć wiosna sypie dłonią rozrzuconą
Blaski, i kwiaty, i woń.

Tłumy robocze, tłumy bezdomne
Przed jutrem niepewnem drżą,
Wznosząc budowy świata ogromne
Pracą, i potem, i krwią.

Matka zostawia w kolebce dziecię,
Za chlebem idzie w dal,
Troska ją dławi, niepokój gniecie,
Zalewa serce żal.

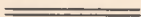
W ulicznym pyłe głodne dziecięcy
Chłoną zepsucia dech...
A wkoło przepych, lśnią magazyny,
Rozkosz, i przesył, i grzech.

O, jakże straszno, ciemno na świecie,
Nędza, i rozpacz, i noc,
Choć maj rozrzuca po ziemi kwiecie,
I sypie blasków moc!

W PROSEKTORYUM.

.
Ciała te, z których życia uleciało tchnienie,
Jako zgaszone lampy pośród ciemnej nocy,
Zostawiły mnie w dawnej zwątpienia niemocy!
.

Wychudłe ciała bezdomnych tułaczy...
Stoję nad niemi... O, sprawiedliwości!...
Ofiary nędzy, głodu, ludzkiej złości,
Za ciała swoje nie miały haraczy,
Ziemia przytułku nie dała bezpłatnie,
Więc martwe poszły nieść służby ostatnie
Tej, co je wzgardą karmiła — ludzkości!



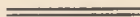
*

*

*

Ach, ja nie mogę zostać tu dłużej,
Bo mnie to życie męczy i nuży.
Jabym tam poszła, gdzie trza zapалу
Gorączki czynu i uczuć szału.
Jabym tam poszła, gdzie ofiar trzeba,
Gdzie krwią męczeńską przesiąkła gleba
Wyda plon bujny, wyda plon żyzny
Ze krwi synowskiej na chleb ojczyzny.

Tu moce mego ducha drzemią...



Z HYJACYNTÓW ŚWIEŻĄ WONIĄ.

Z hyjacyntów świeżą wonią
Dawne w duszy mej wspomnienia
Wstają rzeszą gwarną, lotną,
Niby świeże wiosny tchnienia,
Budząc przeszłość bezpowrotną —
Z hyjacyntów świeżą wonią.

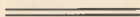
Z hyjacyntów świeżą wonią
Myśl ma leci w dal, w błękity,
Przez step, pola, góry, lasy,
Gdzie Salewów sterczą szczyty,
I studenckie wskrzesza czasy —
Z hyjacyntów świeżą wonią.

Z hyjacyntów świeżą wonią
Myśl ma krąży nad Lemanem,
Gdzie przeleciał wiek mój młody
W gronie druhów ukochanem,
W kraju światła i swobody —
Z hyjacyntów świeżą wonią.

Z hyjacyntów świeżą wonią
Pełny książek, kwiatów tchnienia
Przypominam pokój mały,

Tam entuzjazm i zwątpienia,
Prace, myśli moje drgały —
Z hyjacyntów świeżą wonią.

Z hyjacyntów świeżą wonią
Tam witałam każdą wiosnę
Z nową zawsze wciąż tęsknotą.
I dnie smutne i radosne
Mknęły smugą szczerozłotą —
Z hyjacyntów świeżą wonią.



DO MOJEJ WĘDKI.

Bujaj, myśli niestrudzona wędko,
Nad tajemną duszy bujaj głębią,
Roje marzeń, co na dnie się kłębią
W gwarze życia rozpierzchną się prędko.

Rozczarowań zwalczając atonię,
W fal mistycznych zasłuchana pluski
Nieś mi, pieśni, połów złotołuski,
Strojny w prawdy i piękna harmonię.



MODLITWA.

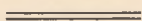
Majowy tobie śpiewa chór
Z padołu płaczu, Wniebowzięta!
W słowiczych pieśni wplatał wtór
Modlitwę moją, Matko święta!

Cicha modlitwo, leć, ach, leć
I spokój duszy wróć gołębi,
O gwiazdo morza, ty mi świeć
W zawiei życia mrocznej głębi.

Lekarko święta, balsam zlej
Na rany krwawe mego łona
I strzeż, ach, strzeż wśród doli zlej
I wiecznie bądź błogosławiona!

Ku tobie serce moje mknie
Przez morze bólu i tęsknoty,
O Matko święta, usłysz mnie
I rzuć mi z nieba promyk złoty.

Prostotę wróć młodzieńczych dni
I spokój słodki wlej do łona,
I żal w dziękczynne zaklinij łzy,
I wiecznie bądź błogosławiona!



PIOSENKA.

Zanim się słońce ukryje złote,
Ja pójdę w ciemny bór,
Może tam moją rzewną tęsknotę
Rozwieje ptasząt chór.

Zanim mgły nocne ziemię osłonią
Popłynę w siną dal,
Może jezioro błękitną tonią
Rozproszy serca żal.

Pójdę ja, pójdę, gdzie łąk przestrzenie,
Gdzie z wiatrem trawka drży,
Może swawolne wietrzyka tchnienie
Otrząśnie moje łzy.

Pójdę, samotna, w daleką drogę,
Nie dbam o trud i znój!
Ach, lecz od smutku uciec nie mogę,
Ściga mnie smutek mój.



DWOISTOŚĆ.

Myśl się moja ciągle trudzi,
Bo dwie w sobie łączę dusze,
Które godzić ciągle muszę,
Czy samotna, czy wśród ludzi.

Jedna z nich posępna, ciemna,
Wciąż niepewna, drżąca, chwiejna,
Głucha, dzika, beznadziejna
I, jak czarna noc, tajemna.

Gdziebądź pošlę myśl tułaczą,
W cieniach nocy, w blaskach słońca,
Ona chwieje mną bez końca
Między szaleńcem i rozpaczą.

I co spokój, nie wiem zgoła,
Choć napozór jam tak cicha.
Ona wciąż mnie budzi, woła,
Ona naprzód wciąż popycha.

I tęsknotę w duszę leje,
I wyżera siły młode,
I na myśli mych pogodę
Zgrzyt szatańskich śmiechów sieje.

Druga dusza, jasna, cicha,
Równym ogniem w głębi płonie,
I łączy bratnie w siebie chłonie,
I westchnieniem bratniem wzdycha.

I na skrzydła swe natchnione
Bierze ludzkich dusz tęsknoty,
I drżącymi niesie loty
Gdzieś w bezmiary nieskończone.

I rozlewa się w naturze
Niepojętem, dziwnem tchnieniem,
I rozbłyska gwiazd jaśnieniem,
I lazurem lśni w lazurze.

Promieniami lśni miesiąca,
I na wietrze się kołysze,
Ciszą sama chłonie ciszę,
Szmerem fali się roztrąca.

Jedna darzy mnie natchnieniem,
Druga niesie mąk katusze.
Jak złąć w jedno obie dusze?
Jak zespolić światło z cieniem?!

Wola często ich nie sięga
Jedna niszczy, druga stwarza.
Ta czaruje, ta przeraża,
A jednaka ich potęga.

Z PIEŚNI MIŁOŚCI.

Skąd przyszedłeś do mnie, powiewna i biała,
Od rzewnych piosenek słodsza i rzewniejsza,
I od promieni słońca promienniejsza
Anim cię kiedy w snach moich widziała.

Tyś przyszła cicha, lękliwa, jak dziecię,
Do mego serca wkradłaś się nieznana
I zamieszkałaś w niem jasna, różana,
Jak najpiękniejszej wiosny wonne kwiecie.

A zapytała-żeś mnie, nie proszona,
Czy tam, w tem sercu, nie będzie za ciasno,
Czy obowiązków iskry w nim nie zgasną,
Gdy ciebie, słodką, przytulę do łona ?

Ach, nie pytałaś ty mnie, rajskie dziecię,
Czy kiedy ciebie przytulę, przygarnę,
Czy praca, cel mój, nie pójdą na marne,
Czy nie zapomnę o nędzy, o świecie ?

Nie zapytałaś samowolna, płocha,
Czy tobą zbyttnio się nie rozserdecznę,
Czy ty mi jedna jaśnieć będziesz wiecznie,
Czy wszystko niczem, kiedy serce kocha ?

O, gdy z cichego przekształcisz się tchnienia
W burzę gwałtowną, co pali i suszy,
I żądz pożary rozniecisz w mej duszy
I szarpać będziesz, i nie dasz wytchnienia,
Ja będę walczyć, walczyć będę z tobą!

Więc bądź tak cicha, jak moja tęsknota,
Co od kolebki biegnie za mną cieniem;
Bądź mi otuchą, mocą i natchnieniem
Przez ciemnie życia wiedz, jak gwiazda złota!



DIGITALIS PURPUREA.

Jak naparstnica purpurowa,
Zakwitła w mojem życiu szarem,
Wabiąc mię krasy swojej czarem,
Namiętne pieśniom dając słowa,
I moc z niej ku mnie biła nowa,
Nieznany pojąc mię nektarem —
Jak naparstnica purpurowa !

Lecz nie wiedziałam, że kwiat chowa
Truciznę pod szkarłatnym czarem,
Że ust kłamliwą jest wymowa,
I jad wypila wraz z nektarem !
Zabójcza gorycz piołunowa
Pali mi serce trucizn żarem,
Które szkarłatnym kryła czarem
Ta naparstnica purpurowa !

JAK BŁĘDNY OGNIK.

Jak błędny ognek, myśl ma wzłata,
I spada w zwątpień ciemne tonie,
I znów się zrywa, i znów płonie,
I za krańcami gaśnie świata —
Jak błędny ognek.

Jak błędny ognek, pieśń, więziona
Przemocą w duszy, płynie drżąca.
Nie zdąży wcielić snów tysiąca,
Dźwięczy i milknie, drży i kona —
Jak błędny ognek.

Jak błędny ognek, taka chwiejna,
Wykołysana natchnień snami,
Pełna tęsknoty, srebrna łzami,
Miłość ma płonie beznadziejna —
Jak błędny ognek.



MODLITWA.

Tchnij we mnie, Panie, lodu chłód,
Zgaś płomień, co się próżno pali!
Pragnień porywy, serca głód,
Ty, Panie, zaklnij w gład i lód
I woli mojej daj hart stali
Na życia znoyny trud!

MILCZENIE.

Serce zdradzić mogą: i westchnienie,
I błysk oka, lub niebaczne słowa.
Jedna jest najcichsza dusz rozmowa,
To wieczyste zakłęcie — milczenie.

Dusza z duszą, z spojrzeniem spojrzenie
Zlewa się bez drgnienia i bez słowa;
Splata je wzajemna pieśń echowa
Dwu serc, dwojga ust — milczenie.

Są dusze, którym milczeć przeznaczono,
Czasem długo, czasem życie całe,
Choć, jak wulkan, wre i wzbiera łono.

Są dusze tak głębokie i nieśmiałe,
Że nikt nie wie, jakim ogniem płoną,
Czasem długo, czasem życie całe.

*

*

*

*

*

*

Zbliżaliśmy się, wciąż zbliżali
Bez słowa.

Jak fala, co ku drugiej fali
W promieniach słońca mknie tęczowa,
Tak miała naszych serc rozmowa
Lśnienia brylantów i opali,
Gdyśmy tak ciągle się zbliżali
Bez słowa.

Gdyśmy raz pierwszy spróbowali
Cudną symfonię przelać w słowa,
Umilkła naszych serc rozmowa,
Jak fala, co z uścisków fali
O brzeg rozbija się perłowa,
Tak my się ciągle oddalali
Przez słowa.

*

*

*

Z UKRAINY.

Od wsi do wsi, wśród łąk i pól,
Jak ptaszek krążę szary,
Sercem serc ludzkich chłonąc ból,
A myślą mknąc w bezmiary.

Dziewiczych, bujnych pełna kras
Ojczyzna ma stepowa...
Tu szumi dębów mroczny las,
Drży gęstwa leszczynowa...

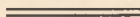
Bezkresne łąny naszych zbóż
W maki i chabry strojne
I rytmy prac od zórz do zórz
Miarowe, a spokojne...

Tam kurhan, walk ubiegłych ślad,
Ówdzie przepastne jary,
Tam lilii dzikiej żółty kwiat
Wystrzela nad moczary...

Od dziecka echem tęsknych dum
Wiatr poił serce moje,
A wykołysał zboża szum
Na trudy i na znoje



Od wsi do wsi, wśród łąk i pól,
Jak ptaszek krąży szary,
Sercem serc ludzkich chłonąc ból,
A myślą mknąc w bezmiary.



WIEJSKI CMENTARZ.

Niema tu kolumn, marmuru, ni złota,
Ani misternie rzeźbionych pomników,
Tylko pólenna snuje się tęsknota
Pośród drewnianych krzyżów i krzyżyków.

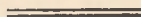
W zieleni kalin, czeremchy i wiszni,
Żaden z nich wieńców metalem nie świeci,
Ani się szumnym napisem nie pyszni...
Tutaj snem wiecznym śpią analfabeci.

Pachną im mięty i kwitną dziewanny,
A darnie mogił barwinek oplata,
I chórzał ptasząt śpiewa nieustanny
Nieznany światu, dalekim od świata.

Za życia ziemię uprawiali żmudnie,
Obszar tych równin, co wioskę otacza...
Może im nieraz w skwarne żniw południe
Paliła skronie ich dola wieśniacza ?

Chociaż wymagań żywili tak mało,
Z nędzą i głodem obeznani zbliżka,
Może im nieraz pod siermięgą lkało
Jakieś pragnienie bez słów i nazwiska ?

Tu spoczywają, jak żyli w prostocie,
Chorał im ptasząt śpiewa nieustanny,
Nad nimi kwitną macierzanek krocie
I z wiatrem żółte bujają dziewanny.



O, tylko słabi na tym świecie płaczą
I po przebytych walkach, bezsilni rozpaczą,
Drżące załamują dłonie.

Ci zaś, co istnienia wszystkimi potęgi
W niezmierzone błękitów wdzierali się kręgi
I w czarnych przepaści tonie,

Co u wszystkich źródeł usta chłodzili spragnione
I sny swe, w rzeczywistość poziomą wcielone,
Kolejno tłukli ze wzgardą,

Co jady rozczarowań pili z życia czary
I krwawe myśli i serca ofiary
Duszą spłacali hardą,

Ci łzami nie mącą swej źrenicy dumnej
I niewzruszeni stoją, jak głazów kolumny,
Wśród dni bez słońca.

Ni jęk, ni skarga ich ust nie poruszy
I spokojni, i niemi, życiowej katuszy
Z uśmiechem czekają końca.

W DALEKIEJ STRONIE...

W dalekiej stronie, na krańcach świata,
Czy w gwarze życia, czy w głuszy
Strzegła mnie zawsze myśl twa skrzydlata,
Niby stróż-anioł mej duszy.

Złudzenia pierzchły, jak sny-motyle,
Co w blaskach snuły się słońca.
Ach, ileż pracy, wysiłków ile,
Nie widzę kresu ni końca.

Próżno o cichej przystani marzę,
Samotną wybrałam drogę.
Ani narzekam, ani się skarżę,
Ani zapomnieć nie mogę...

Że w twojem sercu utkwily ciernie.
Pamiętam w każdym zwątpieniu,
Żeś i ty kochał, cierpiał bezmiernie,
Przebaczył wszystko w milczeniu.

W dalekiej stronie, na krańcach świata,
Czy w gwarze życia, czy w głuszy,
Strzeże mnie, strzeże myśl twa skrzydlata
Niby stróż-anioł mej duszy.

Z PIEŚNI NOCY.

Ukołysz mnie, ty promienista,
Czarowna nocy księżycowa!
Szepcząca cudnych zaklęć słowa,
Błękitna, jasna i gwiazdzista,
Rozwiewna, lotna, srebrno-mglista,
Czarowna nocy księżycowa!

Ty drgnienia taisz nieskończone,
Nadziemskie myślom dając wzloty,
I ciszą poisz dusz tęsknoty.
Ty ukój serce me zmęczone,
Ty czaru pełna i pieszczoty,
Nadziemskie myślom dając wzloty.

Po dnia burzliwych wrażeń tłumie
Niech duch mój w cichej śni zadumie
Baśnią, fantazyją, marzeniem.
I pieśni moich bądź natchnieniem
Po dnia burzliwych wrażeń tłumie.

Niech przed dnia brzaskiem, co sny zwiewa
Nim wir ogarnie mię codzienny,
Duch mój wśród nocy tej bezsennej
Niech w nieskończoność się rozwiewa

I pieśń natchnioną, cichą śpiewa,
Nim wir ogarnie mię codzienny.

Kołysz mnie, nocy księżycowa,
Kołysz mnie, cicha, promienista.
Tęsknot bezbrzeżnych ton wieczysta,
Twych szeptów znana mi wymowa...
Ukołysz, nocy księżycowa!
Daj zapomnienie, promienista!



Z NOCY LETNICH.

Ach, wy śpicie i nie wiecie,
Co się dzieje na tym świecie
W letniej nocy czas,
Kędy wiecie mnie tęsknica
Promieniami gwiazd, księżycu
W mroczny, senny las. W mroczny, senny las.

Lekkie wiatru niosąc tchnienie,
Dęby czarne sieją cienie
Na zioła i mchy.
Księżyc między brzozy liście
Smugą wdarł się i srebrzyście
Na gałęziach drży. Na gałęziach drży.

Jak iskierki, co blask niecą,
Świętojańskie żuczki świecą
Pośród traw i ziół,
A tam w dali na moczarze
Błądny ognik strzeli w jarze
I zapada w dół. I zapada w dół.

A wy śpicie i nie wiecie,
Co się dzieje na tym świecie

W letniej nocy czas,
Kędy wiedzie mnie tęsknica
Promieniami gwiazd, księżycu
W mroczny, senny las. W mroczny, senny las.

*

*

*

BAŚŃ KSIEŻYCOWA.

Jak świat, stara i wciąż nowa,
Poi czarem serca ludzi,
Nęci, woła, ze snu budzi
Baśń mistyczna księżycowa.

Zanim spłynie srebrna, drżąca,
Uskrzydłona natchnień mocą,
Nim tajemną spłynie nocą,
Ciszej wietrzyk liście trąca...

Ciszej rzeka fale toczy,
Wolniej serca w piersiach biją,
W mgłach rozwiewnych drżąc się kryją
Zapatrzone gwiazdek oczy.

Niepojętych czarów siła
Śle ku ziemi niebios tchnienia,
Wszystko srebrzy, iskrzy, zmienia,
Wszędzie strugi blasków zsyła.

Nieuchwytnie śle opary,
Mlecznym wiankiem z gór się wije,
Brylantami rzeki kryje,
Srebrem ściele ciemne jary.

Czarodziejka, wiecznie nowa,
Fale marzeń w dusze wlewa.
Tuli, pieści, szumi, śpiewa
Baśń odwieczna księżycowa !

LA COMEDIA.

»Oime se quest'amor
comme ei travaglia!«
(*Leopardi. Il primo amore*).

Z wód Styksu wołam do ciebie, spragniona,
Italio! weź mnie w swe białe ramiona,
Duchów i bogów nieśmiertelnem tchnieniem
Owiej me skronie.

Wołam do ciebie z tęsknotą bezmierną,
Italio, ukój, ukołysz niewierną.

Ja ciebie nie znam, lecz tęsknię po tobie
I dniem, i nocą bezsenną w żałobie,
I we łzach, w rozterce.

Italio, kraju marmurów i słońca,
Myrtów i oliw, ukołysz me serce!

O, nikt nie zgadnie i nikt nie zrozumie
Tęsknoty mojej i cierpień bez miary.

Idę, i kocham, i milczę, i tłumię
Żar w sobie święty, a trucizn puhary
Zewsząd się ku mnie chylą i łakomie
Na biedne serce spływają zdradziecko.

Ha!... mistrzem był mi on patrycyusz dumny
I śmiał się, sny me chowając do trumny,
I płakał.

Głos miał z piorunów, włosy szron siwizny
Srebrzył, czoło dumne i wyniosłe

I wzrok, jak piekiel otchłanie, tak ciemny.
Biły zeń nieraz błyskawiczne blaski,
Lub jak zachodu konające brzaski,
Jak lamp gasnących płomyki figlarne,
Tak mu iskrami lśniły oczy czarne.

I w nic nie wierzył on, i pamięć jedna
Lat dawnych, dawnych walk, uniesień
Łzami srebrzyła jego mroczną jesień.
Nie wierzył, przeklął wszystko i pochował,
Wszystko na świecie w noc mu przeszło czarną
Bez gwiazd, i bez promienia, bez nadziei
I ciszą cmentarną owiało siwe skronie,
A tam, w duszy,
Jako w wulkanie wrzał bój beznadziejny.

Nie wierzył w ducha nieśmiertelność,
Nie wierzył w dobra słodki czar,
I w świętych uczuć bezpodzielność,
I w świtów moc, i w modlitw żar
Nie wierzył.

Nie wierzył w prawdy boski świt,
W postępu jasny szlak,
I jako czarny zwątpień ptak,
Szyderczy tłumił zgrzyt.

Zrazu z dziecinnej duszy wypił chciwie
I resztki wierzeń, i nadziei tęczę,
Potem w różanych snów sidła pajęcze
Oplątał, piekielne rozniecił pożary

W sercu, co spało, jak dziecię nad rankiem,
I wskazał trucizn rozkoszne nektary,
I czoło złotych aureoli wiankiem
Naznaczył.

Czekał i patrzył na dzieło swej myśli
Ciekawie, a kiedy w rozterce
Jeszczem się nieba czepiała łańcuchów,
Jasnym błękitów widziadeł i duchów,
Błyskawic wzrokiem, co w duszy się kreśli
Niczem niestartą smugą, rozdzierał mi serce.

Był czas, że przed nim stawałam, jak dziecię,
Patrząc mu w oczy śmiało i bez drżenia.
I opowiadał mi on o wszechświecie,
I o nirwanie wielkiej wszechistnienia,
I o wysiłku próżnym ludzkiej myśli,
O nocy owej bez kresu i końca,
Której dziecięciem człowiek, atom kruchy...
...I śmiał się z wierzeń i wzlotów do słońca
I z kręgów jasných, kędy lecą duchy,
I śmiał się...

Ale czasami ból i jęk dławiony
Drgał w owym śmiechu beznadziejnem tętnem.
I ja nie mogłam z sercem obojętnem
U źródeł Styksu pić rozpacz z nim razem.
I odchodziłam w noc bez świtania,
Karmiąc się piekiel bezdennych obrazem.

I posmutniała dusza ma, już smutna,
I posmutniała na zawsze, lecz jeszcze

Ni walk nie znałam, ani pragnień dreszcze
Nie roztrącały mojej myśli sennej,
I szłam bez trwogi, i trud bez wytchnienia
Koił mi tęsknot dawnych echa stare,
Niegasłych uczuć wspomnienia.

I stałam się, jak cień, co żyje cieniem,
Tak drżąca i tak mała,
Że z każdym wiatru potężniejszym tchnieniem
Jam jak duch lekki na wietrze się chwiała,
A serce jedno rozrosło się we mnie.
I cały wzięło w siebie świat i wszechświat cały,
Wszystkie bezmiarów nieujętych ciemnie
W tem sercu drgały.

To znów jak ojciec, on stawał przede mną
Jak starożytny mistrz z promiennem czołem,
A wtedy — ach, ja czułam się aniołem
I szaty jego czepiałam się drżąca,
I mogłabym z nim iść w noc bez miesiąca
I w żary słońca, i w głąb, i w dal,
I wszędzie, i bez końca.
I mogłabym z nim iść tak nieskończenie,
Tak lekka i tak blada, jako duchy,
Zda się, że wszystkie materyi łańcuchy
Wszystkie opadły ze mnie i bez szczęku,
Bez lży, bez skargi, bez bólu, bez lęku.

*

Ach, i śniłam ja znów,
I śniłam bez końca.

W kraju oliw i słońca,
Gdzie cytryna kwitnąca,
Gdzie wiatr morza roztrąca
I kołysze do snów.

Gitary cichy dźwięk
Kołysał mnie do snów.
Gitary smętny ton,
Jak odrodzenia dzwon,
Budził mnie ze snów
Bez słów.

Ach, czyż to był sen?!

Odżyła dusza ma
Jak kwiat, co w słońcu drga.
Czyż to był sen?
...Ta muzyka i śpiew,
I woń tych drzew
Tych drzew
Kwitnących pomarańczy...
Jak wietrzyk, tańczy,
Wzdyma morze falami...
Ave! módl się za nami!

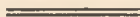
Ach, czyż kochać to grzech?!

Jego oczy tak czarne,
Jego słowa tak palą!...
Powietrze duszne, skwarne,
Jego oczy tak czarne,
Cha, cha, cha!... skąd ten śmiech?!

Jego oczy tak czarne
Czyż kochać grzech ? !

Ach, zlituj się, Boże,
Ja lękam się i trwożę
I drżąca w pokorze
Wołam: zlituj się, Boże!
Ach, czyż i to był sen?
Gitary cichy dźwięk,
Te łzy, ten jęk
Czyż to był sen,
Czyż sen ? !

1898 r.



*

Siła tajemna, niezgłębiona
Koi mi serca żal.
Porywem natchnień uskrzydłona,
Wiedzie za sobą w dal.

Wskazuje drogę, hen bez końca,
Gdzie wola tworzy cud,
I zlewa ciepłe blaski słońca
Na biedny, chwiejny lud.

Bierze w swój uścisk bezpodzielny,
Szepcząc do ucha: chciej,
A będziesz wielki, nieśmiertelny,
Niepomny myśli zlej.

I będziesz wszystkich dusz tęsknoty
W swej duszy żywił ty,
Śmiertelną cząstką wszechistoty,
Gdzie słońce prawdy lśni.



NAPRZÓD.

Natura cicha i wspaniała
Idzie wciąż naprzód, płonie, pała,
Gdzie jej początek, gdzie jej kres?
Rozsiewa wkoło życie wrzące
I śmiercią ścina tchnień tysiące
Wśród gamy śmiechów, morza łez.

*

Wiedząż lazury te odwieczne
Po co lśnią gwiazdy, drogi mleczne,
Jaka je siła wprawia w ruch?
Czy z oceanów niezmiernych
Kędyś w eterach rozrzedzonych
Wznosi się jaki wielki duch?

*

Duch wszechtworzenia, duch zniszczenia
W potopie blasku, w mroku cienia,
Wśród niepojętej skryty mgły.
On, dobroć-że to nieskończona,
Czy obojętność niewzruszona,
Czyli też groźny geniusz zły?!

*

Przedpotopowych ras żrenice
Kto wie, przez zgasłych sfer mgławice

Może sięgały w jego wzrok?
A my z chwiejnością beznadziejną
Drogą zagłady mkniem kolejno
W nicości nieprzerwany mrok?!

*

Lecz nie! my naprzód w głąb słoneczną
Drogą rozwoju idziem wieczną,
A naszym hasłem Świt i Ruch,
Przedwiecznych kształtów, form pamiątki
To larwy nasze, nasze szczątki,
Które jak motyl zrzucił duch!

*

Więc niepamiętni własnej troski,
Rzucajmy światu drżące zgłoski,
Które w przyszłości wejdą pieśń.
Rzucajmy własne swe istnienie
W przyszłej ludzkości odrodzenie,
Zrywajmy z ducha zwątpień pleśń!

W ZADUSZNY DZIEŃ.

W zaduszny dzień, w zaduszny dzień
Pójdę na cmentarz stary.
Tam, kędy mroczny sieją cień
Odwiecznych drzew konary.

Zanim z kościółka jęknie dzwon,
Pójdę przez wichry, burze,
Jak tułacz ja z dalekich stron,
Jesienne niosąc róże.

Tam rzucę się na biały szron,
Na ziemię, mrozem ściętą,
Zanim z kościółka smętny dzwon
Żałobne jęknie święto.

Niech płyną łzy, niech płyną łzy
Z serca, co tak tęskniło
Do ziemi, kędy sosny trzy,
Nad drogich mych mogiłą.

Tutaj przez wiecznych tęsknot moc
Wyrwam się od ludzi,
I niech mnie tak zaskoczy noc,
I niech mnie nikt nie budzi.

Może usłyszę cichy śpiew
I twarze ujrzę jasne.
Niech milknie serce, stygnie krew,
Niech ja tak cicho zasnę.

Może aniołów smutnych rój
Rozsrebrzy moją duszę,
A potem znów na życia bój
Silniejsza w świat wyruszę.

W DZIEŃ ZADUSZNY.

Listopadowy deszczyk mży,
Z kościółka bije smętny dzwon.
Na ziemi mrok, na niebie mgły,
A w sercu żal, a w oczach łzy,
Bije z kościółka smutny dzwon...
Requiem aeternam...

Jęczą organy, płynie tłum,
W żałobie kościół, w gromnic skrach
Niebo i ziemia toną w łzach.
To modlitw szept, to westchnień szum,
Jęczą organy, błaga tłum...
Dona eis, Domine...

Ty duszom zmarłych światłość daj,
Przez zwątpień noc do Ciebie szły,
Jak ogni błędnych chwiejne skry,
Przez kolce szły cierniowych dróg,
Tyś sprawiedliwy Pan i Bóg,
Ty duszom zmarłych światłość daj...
Et lux perpetua...

U stóp Chrystusa światło drży,
To gromnic blask, to tłumy łzy.

Tyś sprawiedliwy Pan i Bóg,
Daj duszom jasność rajskich dróg.
Na ludu swego wejrzyj łzy.
Spraw, niech im światłość wieczna łśni...
Luceat eis...

.

Jest czas, gdy człowiek, biegiem życia gnany,
Jako łódź falą bez steru i wiosła,
Naraz zatrzyma się w dali nieznanej
I pyta z trwogą: falo, gdzieś zanosła ?
I wstecz spogląda, gdzie droga przebyta,
Chciałby krok każdy odtworzyć w swej myśli
I chwilę każdą, i ruch każdy chwyta,
I obraz każdy w pamięci swej kreśli.
Lecz w jedną całość próżno chce zlać chwile,
Pełnym akordem wziąć rozpierzchłe tony,
Jedne, jak barwne przemknęły motyle,
Inne wydarły z piersi jęk tłumiony.
Naprawdę szuka w nich myśli potęgi,
Coby się w czynach przejawiała stale,
Z tęsknotą patrzy na przebyte kręgi
I znów się rzuca na burzliwe fale.

CHIMERA.

Choć często blizka, lecz wiecznie daleka
Wabi ku sobie i w bezmiar ucieka.
Do boju wzywa i daje zwycięstwo,
Twórcom natchnienie, bojownikom męstwo
Ona od mrocznych początków wszechświata,
Jak ptak więziony, z tajników dusz wzłata.

I darzy bólu i cierpień królestwem.
Ona — bez której życie jest nicestwem,
Pełzaniem gadu, wegetacją, czczością.
Ona — stygmatem woli i boskością,
Co w nieskończoność skrzydła rozpościera
Kapłanka ludów — Idea-Chimera.

RONDO.

Ranna jutrenka nad Warszawą
Z mgieł nocy wstaje cicha, drżąca
I wschód rozpala łuną krwawą,
I blaskiem oczy senne trąca
Zorza poranna nad Warszawą.

Skargi się jakieś we mnie żalą
I niewysnutych pieśni słowa.
Rój marzeń, gnany blasków falą,
Pierzcha, w błękitach dnia się chowa,
Patrz, wschodzi jutrznia purpurowa,
Skargi się jakieś we mnie żalą.

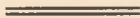
Nim blask dnia oczy ci otworzy,
Płynę do ciebie, lecę, płonę
Pierwszym dnia świtem, brzaskiem zorzy
I pieśni niosę ci natchnione,
Nim blask dnia oczy ci otworzy.

Jak ptak schwytany, się trzepoce
I lękiem serce we mnie bije,
Przeżytych zwątpień widząc noc,
To serce ludzkie i — niczyje
Przeżytych cierpień widzi noc.

I znowu czeka — bezrozumne,
I pragnie znowu — wiecznie żywe,
I rozczarowań kruszy trumnę,
Smutkiem bezmierne — a szczęśliwe,
Takie pokorne i tak dumne,
Tak nieugięte, a tak tkliwe,
Serce poety bezrozumne.

Od dziecka patrząc w nieskończoność,
Bezbronnie szło przez walk męczarnie
I piło gorycz łez i słoność,
I każdy szarpał niem bezkarnie,
Lecz zapatrzone w nieskończoność
Zwycięsko szło przez walk męczarnie.

Omdlewam dawnych lat tęsknotą,
Coś jęczy we mnie, coś się żali.
Przeczucia cierpień myśl mi gniotą.
Dzień się wynurza z mroków fali,
Omdlewam dawnych lat tęsknotą.



PIOSNKA ZIMOWA.

Ach, w noc taką trudno spać !
Strojny w szronów dyjamenty
Stoi ogród, jak zakłęty.
Ludzie mówią: szadź, to szadź,
Ach, a ja nie mogę spać !

Myśl ma błądzi po ogrodzie
W białych duchów korowodzie.
Ni to z cienia, ni z promienia
Pełna drżenia, zamyślenia,
Błądzi cicha po ogrodzie
W białych duchów korowodzie.

Świeci księżyc nad chatami,
Jak latarnia elektryczna.
Wabi, nęci gwiazd oczami
Roziskrzona noc mistyczna,
A ja lecę gdzieś w zaświaty
Za te białe pola, chaty.

Łzy mi jakieś z oczu cieką
I, jak szronów dyjamenty,
Zastygają pod powieką.
A świat cały, jak zakłęty.

A me myśli gdzieś daleko
Za tą wioską, za tą rzeką.

Ach, ta noc, ta biała szadz !
Oto wiatr zaczyna grać
I otrząsa z drzew w przelocie
Brylantowych iskier krocie
I zaczyna w sercu grać.

Ach, ten ogród, te dyamenty
I w pamięci, jak zaklęty,
Dawny, dawny duszy sen.
Raz jak hymn, to znów jak tren.
Ni to marzy, ni się skarży,
Łzami spływa mi po twarzy
I nie daje w nocy spać !



TEŚKNOTA.

W mgłach tonie ziemia, już chłodna noc blizka,
Stepowy wicher hula po ugorze.
O, jakże smutno i ciężko mi, Boże,
Z moją tęsknotą bez słów i nazwiska.

*

Z moją tęsknotą bez słów i nazwiska,
Co od kolebki biegnie za mną cieniem,
I często z oczu słone łzy wyciska
I cichych pieśni staje się natchnieniem.

*

I wtedy pieśni staje się natchnieniem,
Gdy od łez dusza zbieleje, jak płótno,
Lecz zanim spłynie słów wiązanych brzmieniem,
Ciężko mi, Boże, samotnie i smutno.

*

Lecz choć mi nieraz i ciężko i smutno,
Z moją tęsknotą, co nie ma nazwiska,
Niechaj się w pieśniach tysiącznych rozpryska,
Gdy od łez dusza zbieleje, jak płótno.



Ach, wy mi się nie dziwujcie,
Stepy, pola me rodzone,
Nie pytajcie, nie żałujcie,
Gdy w ojczystą wrócę stronę.

Tylko mnie owioncie ciszą,
Gasnącego nieba mrokiem,
Niech mnie ludzie nie dosłyszą,
W tchnieniu waszych pól szerokiem.

Niech ja do was się przygarnę,
Jak włóczęga raz ostatni,
I połączę dłonie marne
W jeden z wami uścisk bratni.



PIEŚŃ WAJDELOTKI.

Przestańcie o me losy drzeć,
Wciąż śledząc mnie u proga.
Nie wam splątana przędzę wić,
Co spływa z ręki Boga!
Pracownik musi żonę wziąć,
Niewieście trzeba męża,
A prządkom prząść, a Parkom ciąć,
A mnie potrzeba wołać, kłać,
W złocony róg bez przerwy dąć,
Zarzucać wiecznie złotą sieć,
Gdzie śpią w letargach kniaź i kmieć
Iść naprzód wciąż, budzić i grać,
Zziębnięte bratnie serca grzać!
Choć nie mam łuku, nie mam strzał,
Ni zbroi, ni oręża,
Bóg w moje serce ogień wlał,
Co pali i zwycięża!
Mój mąż — to wichrów dziki szal,
To zefir — co przelata,
To Prometeusz, co wśród skał
W męczarniach drga przez lata!
To blasków tęczy barwny puch,
Co gdzieś w eterach kona...
Mój mąż — to nieśmiertelny duch,

Otwiera swe ramiona,
I woła mnie z nieziemskich stref:
Śpiesz, dam ci boski żar,
Zerwę ci z twarzy mglisty kwef,
W usta tchnę prawdy czar!
Dam tobie pierścień mężnych cór
Z brylantów i opali,
Nie zlékniesz się ni burz, ni chmur,
Ni życia wrogiej fali.
Na pierś zwycięski pancerz dam,
Z przedwiecznej kuty stali,
I u tajemnych staniesz bram,
Gdzie Znicz się wieczny pali!

Z MOTYWÓW JESIENNYCH.

Z drzew opadają żółkłe liście
W listopadowych blaskach słońca.
I lecą, lecą w dal bez końca,
Wiatr je omiata z drzew rzęsiście.

Bez skargi, z cichym mkną szelestem,
Wiatr je w dół miecie, rwie do góry,
A w blaskach złota i purpury,
Słyszać szept śmierci: oto jestem.

Jaśniejąc szatą szmaragdową,
Szumiały niegdyś uroczyście;
Pożółkłe liście, zeschłe liście,
Nic nie ożywi was na nowo!

Bez skargi z cichym mknie szelestem,
Z ponad urwiska, z nad Gehenny,
Dusza — jak zeschły liść jesienny,
A głos jej cichy szepce: jestem.

DO PRZYJACIÓŁ.

Kiedy mi przyjdzie pożegnać tę ziemię,
Co mnie poiła goryczą i łzami,
To szepnę cicho zbladłemi ustami,
Żem ja nie swego bólu niosła brzemię,
Że żyłam z wami i cierpiałam z wami.

*

Ach, ja tę chwilę powitam bez żalu.
Jak algi, pełznąc po krasnym koralu,
Codzienne gwary pieśń bez słów zagłuszą,
Pieśń, którą w ruchu każdym snułam duszą.

*

Mnie się dziś zdaje, żem was znała wieki,
Nie tu i nie tam, ale w świecie ducha,
Kędyś w przestrzeni mglistej i dalekiej,
Gdzie serce sercem rozumie, i słucha,
I umie przeczuć, i niszczy, i tworzy,
Drgające władzą wielką myśli Bożej.

*

Jeślim grzeszyła pragnień mych porywem,
Jako wędrowiec w pustyni bez źródła,
W łańcuchu jestestw byłam też ogniwnem,
Dziś dusza moja z porywów wychłódła,

Dzisiaj się wieczność przede mną odsłania
Z nadludzką siłą cierpień i kochania.

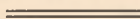
*

Niechaj pieśń moja do serc waszych spłynie
Z serca, co nie jest już sercem człowieka,
Bo już nie żąda, nie pragnie, nie czeka,
Tylko łąą bólu, co w morzu łez ginie,
Drży i ode mnie w zaświaty ucieka.

NIGDYŻ.

Czyż przeznaczeń klątwy nie przemogą,
Idealów moich świetlne pierwowzory!?
Dążę ku nim wiecznie jedną drogą,
I już życia dzwonią mi nieszpory
I zachodzi słońce łun pożogą.

Jak gasnące nieba gwiazdozbiory,
Czyż wytrzymać blasku dnia nie mogą?
Tylko w ciche świecą mi wieczory,
Pojąc serce nowych natchnień trwogą,
Nigdyż, nigdy ziścić się nie mogą
Idealów moich świetlne pierwowzory!?



W NOC ZIMOWĄ.

Szybko niosą mnie sanki w śnieżną dal stepową.
Lecę, tonę, rozpływam się w białej krainie,
Skry śniegowe pode mną i skry gwiazd nad głową,
A wokoło mgieł srebrzystych lotna chmara płynie.

I duch mój rozmarzony, omdlały, półsenny,
Leci w dal nieskończoną na skrzydłach zadumy.
Cisza. Myśli zgiełk milknie całodzienny,
Wrażeń uczuć i wspomnień odbiegły mnie tłumy.

Zda się, tracę poczucie istnienia, pamięci.
Nieskończoność drgnień mistycznych tajemną wymową,
Przyzywa mnie ku sobie, i wabi, i nęci,
I roztopia w bezmiarów głębię brylantową.

Z mgieł, rozsnutych po stepie, i z blasków miesiąca,
Świetlane duchy ku mnie chylą się z pieszczotą.
Nie znam ich, a przeczuwam i zgaduję drżąca,
Że ku nim marzeń kiedyś rwałam się tęsknotą.

I wiem, chociaż wyrazić słowami nie mogę,
Że kiedyś z duchy tymi, gdy życie przeminie,
Duch mój w nieskończoną wybierze się drogę,
Jako atom eteru w bezkresów krainie.

B Ó L



Poza mną uczuć purpurowe morze,
Jak ściętych maków pole, się czerwieni,
Niby krwawe morze,
Leżą ścięte krasne uczuć kwiaty,
A nad nimi czarny ptak skrzydlaty,
Zawisł ból...

Wyrasta z jaźni wnętrza
Wszechwładny ból,
I jak mrok, zgęstsza się i spiętrza,
Z bezkresnych pól.
I patrzy okiem ślepem
Na tonie najcichsze
I ponad duszy stepem,
Jak groźny król,
W szalonym pędzi wicherze.

Wyszłam ku niemu na spotkanie
Z wioskowej cichej ojców chaty.
Gnało mnie wielkie pożądanie
Uczuć płomiennych, wielkich czynów,
I gnał mnie marzeń rój skrzydlaty
W nieznane kraje, obce światy,
Z cichej wioskowej ojców chaty,
Gnało mnie wielkie pożądanie,
— Bólowi — Bólów na spotkanie.

OGNIWA.

Jesteśmy ogniwem w łańcuchu. Prastary łańcuch, szerniały od łez i znoju, których rdzę ściera ją zeń ustawicznie krwawo-złote błyski ognio-
wych prób.

Od północy na południe, od wschodu do zachodu przez góry i głębie, przez lądy i morza, w fantastycznych festonach, zasnuwa ten łańcuch matkę-ziemię, związany z nią nierozzerwalnymi węzły swych ogniw przez ból i ruch — on jej wieczny niewolnik i zdobywca.

Jesteśmy ogniwem w łańcuchu — stara utarta przenośnia, a jednak w rozwojowym pochodzie ludzkości jest ona i będzie coraz bardziej świadomą alfą i omegą etyki.

Łańcuchistnień, rozsnuty w przestrzeni, opiera się o nią każdym swem ogniwem i każdym ogniwem wykracza poza przestrzeń — w dziedzinę czasu, w nieśmiertelną krainę dusz, gdzie wszystko trwa przez pokolenia, zmartwychwstając i odradzając się ustawicznie mocą cudownej władzy — pamięci.

Każde ogniwo to wrażliwe, ruchome zwier-

ciadło, wszystko się w niem odbija i wskrzesnąć może każdej chwili. Każde jego drgnienie znaczy naokół ślad, odbity we wrażliwych zwierciadłach innych dusz w najrozmaitszy sposób, bądź jako czynnik hamujący i destrukcyjny lub też jako impuls i bodziec twórczy.

Bądźmy więc intuicyjnie ostrożni, gdyż jesteśmy ustawicznie odpowiedzialni. Dumni z królewskiej władzy ducha, co ma pod sobą »rząd dusz«, bądźmy pokorni, gdyż nasze najwspanialsze nawet przebliski twórcze możnaby rozbić na genetycznie związane z sobą atomy, poczerpnięte z emanacyi innych dusz.

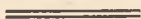
My, ustawiczni i odwieczni dłużnicy, bądźmy szczodrzy i miłującą dłonią sypmy naokół ziarno i kwiecie pól i łąk ducha; sypmy hojnie, niech pada i wzrasta, niech zasila i żywi, jako i nas żywiło sypane nam w znoej wędrówce życia.

Nie odtrącajmy od siebie głodnych i maluczkich, bo ci, którzy proszą o chleb, często-kroć dają nam brylanty i złoto.

Nie przyzywajmy, nie łaknijmy spokoju, który jest symbolem martwoty; w ruchu albowiem jest siła płodna i zdobywcza — w zmęczeniu nawet tkwi zadatek nowych coraz bujniejszych wysiłków.

Rzucajmy bez wytchnienia wszystkie łyzy i skry ducha w stronę świtu, bo świt ten wschodzi w męczeńskiej purpurze nad spracowaną, spragnioną ludzkością, w męczeńskiej purpurze

wyłania się z mroków nocy strasznej, gdzie skłębione żywioły pasują się rozpaczliwie. Rzucajmy całą siłą pragnień i tęsknoty przez koszmary i wizye dni ubiegłych hasła sprawiedliwości, prawdy, wyzwolenia!



PRZEKŁADY

AMORE E MORTE.

Z WŁOSKIEGO.

GIACOMO LEOPARDI.

»muor giovanne
colui ch'al cielo è caro«.
(Menandro).

»Fratelli, a un tempo stesso, Amore e Morte Ingenerò la sorte«. (Leopardi).

Siostrą miłości jest śmierć —
— Stworzył je los jednocześnie.
Równie pięknych potęg
Niema w wszechświecie, gwiazdy ich nie znają.
Z jednej z nich spływa strumień
Najwyższego szczęścia w życiu oceanie,
Druga najdotkliwsze łagodzi cierpienia,
I zło najgorsze roztopia w nirwanie.
Najpiękniejsza z dziewic: słodkie ma wejrzenie
Nad ludzkością zbolałą często z młodym Amorem
Kraży w parze, serc boskiem będąc pokrzepieniem.
Niemasz serca mędrszego nad serce,
Tknięte miłością. Żadne niema tyle mocy
I gotowości, by życie doczesne
Bez zastrzeżeń władcy swemu złożyć w dani.
Serca, co z ciebie moc czerpią,
Miłości! hart mają woli i śmiałość,
Nie w postanowień chwilowych przelocie
I obietnicach zwodniczych jedynie
Natenczas, lecz mądrość przejawiają w czynie,
Gdy się budzi na nowo,

W serca mrocznych głębiach
Miłości tajna potęga,
Tchu zamieraniem łono się rozprzęga,
Pragnieniem śmierci, wytchnienia, skonania.
Jak? — nie wiem. Lecz taką
Jest miłości pierwszej prawdziwa potęga.
Życia morze pustynia,
Wzrok przeraża, ziemię wskazując bezludną,
Gdy znika nieskończona
Jedyna nowa szczęśliwość,
Którą człek myślą oglądał pieściwie,
Lecz te straszliwe przewidując burze,
Co w sercu rozżęga łaknący spokoju,
Do portu chciałby zawinąć,
Podczas gdy dzikie pragnienie
Nocą czarną, nocą widnokrąg zasnuwa.
Później, gdy żywioł straszliwy
Zewsząd serce ochwyci
I niezwalczoną szaleje tęsknotą,
Ileż to razy błagalnie
Przyzywa cię z upragnieniem
O śmierci, kochanek z bólu omdlały.
Ileż to razy słyszały
Wieczory i wschody jutrzni porannej
Krzyk serca, gdy ciało gięło się, mdlejąc.
»O, szczęśny byłbym, gdybym nigdy więcej
Nie powstał i dnia nie powitał brzasku«!
Ileż razy przy dzwonów pogrzebowym jęku
I pożegnalnych pieniach,
Z którymi umarłych na wieczny niosą spoczynek,

Westchnienia żarem gorące
I z głębi serca żal słałem zazdrosny,
Że nie ja to idę spocząć z umarłymi.
Ludu niewykształcony!
Wieśniaku nieświadomy
Zdobyczy, które z wiedzy źródeł płyną,
I ty, drżąca, nieśmiała dziewczyno,
Której na śmierci wspomnienie,
Włos jeży się na głowie,
Mężnie ślecie spojrzenie
Na kir trumny, na całuny żałobne.
Mężnie sztylet, truciznę
W skrytości obmyślenie
I śmierci wzywacie,
Miłości świętem, jak śmierć, silnem prawem,
Tak ku śmierci skłania
Siła kochania. I często jeszcze
Pod takim ciężkim, wewnętrznym frasunkiem,
Którego siłą ludzką zwalczyć nie zdołało,
Och, łamie się wątłe ciało,
I śmierć nad bratnią siłą góruje zwycięską,
Lub też miłość w przepaść tak głęboką
Spycha, że sami, i wieśniak nieświadomy,
I ta wątła dziewczyna
Własnej dłoni ciosem
Młodym ciałom każą paść na ziemię.
Los ich — pośmiewiskiem dla świata.
Niechże światu wzamian niebo śle spokój i starość.
Duszą płomienną, szczęśliwą,
Duszą odważną i czujną,

Niech los jedną z was zsyla i druga,
Słodkie władze, przyjazne wszechludzkiej rodzinie,
Nad które nie masz potęg w wszechświata dziedzinie,
I tylko losów przemoc was zwycięża.
O ty, którą od dziecka podziwiam
I czczę, ty błogosławiona
Śmierci! piękna i cicha,
Ciebie jednej pragnąłem i zazdrośnie
Przed obrazą profanów boskości twej strzegłem,
Ześlij wzamian wytchnienie,
Usłysz modlitwę rzewną,
Jakiej nie zwykłaś słyszeć. I oczy me smutne
Przed światłem zamknij, o czasu królowno!
Kiedyż tve ciche skrzydła zatrzepocą?
Przybądź! jam gotów zawsze z dumnem czołem
I nieugięty pod losów przemocą.
Wszystkie doczesne nadzieje i chcenia,
Wszystkie bez skargi od siebie odrzuć,
Ludzkość w nich biedna szuka zapomnienia,
Ja się pocichu oddalę, odwrócę,
I w tobie całą nadzieję zostawię
I jedną tylko chwilę błogosławię,
Tę, kiedy twarzą zbladłą i uśpioną
Na tve dziewicze pochylę się łono.



ULTRA COELOS.

Z LECONTE DE LISLE'A.

Dawniej, gdy snów młodzieńczych rzesza świeża
Rwała mi się z serca potokiem wzburzonym,
Gdy leżałem w zachwycie na piaskach wybrzeża,
Ze wzrokiem w niebo i w wolność utkwionym,

Kiedy tchnący bezmiarów tajemną muzyką
Wietrzyk nocny przebiegał po powietrzu śpiącym,
A morze fale swoje toczyło mniej dziko,
Z szumem melancholijnie i wolno płynącym,

Kiedy milczące gwiazdy, splatając się w górze,
Nurzały swe promienie w morza sennej fali,
Drżąc, niby łańcuch złoty w ciemnym wód lazurze,
Lub wznosząc się i tonąc w nieskończonej dali,

Z sercem bijącym trwogą, lękiem i pragnieniem,
Pochylony nad życia przepaścią tajemną,
Gdym pożądań bezmiernych ogarniał spojrzeniem
Cień tych wszystkich upojeń, co pierzchły przede mną.

Noce ojczyste! świeże aromaty,
Gąszcze ciemne, drżące przeciągłem westchnieniem,

Nieba odległe, jarzące się światy,
Fale, rozkołysane sennem ukojeniem...

Zachwyty zmysłów, drgnienia magnetyczne,
W których się tonie bez pamięci i oporu,
Znieruchomiałe żądze ascetów mistyczne,
Sto lat z otwartem okiem siedzących wśród boru...

Naturo! olbrzymko cicha i wspaniała,
Majestatyczna głębio, gdzie śpi zapomnienie,
Czemużeś mnie bezmierną ciszą nie owiała,
Gdym nie wiedział jeszcze, co łączy i cierpienie!?

Niechby ciałem znikomem los rzucał po świecie,
Niechby je tłum codzienny uniósł nieświadomie,
Czemuś ty zeń duszy nie wyrwała w kwiecie,
Nie zatopiła w piękna swojego ogromie!

Nieczuły, ni zwycięzca, ani zwyciężony,
Nie dźwigałbym lat żałobnych ciężkiego brzemienia,
Przeszedłbym przez blaski i mroków zasłony
I, jak Bóg ślepy, nie znalazłbym istnienia!

Ach, lecz głos synów ziemi ciebie nie dosięga
Naturo, obojętna na ból i przekleństwo.
I nie z ciebie wypływa miłości potęga,
Nie ty nam łączy wyciskasz, nie ty ślesz męczeństwo.

Nas wabią pragnień trucizny palące,
Gdy czara twa zawsze pełna ust naszych najbliżej,

To przeznaczenia hasło, we krwi nam dzwoniące:
»Naprzód mknijcie, śpieszcie naprzód wciąż szybciej,
[wciąż chyżej!«

Nie przystawajcie w drodze, o kształty znikome!
Krążcie bez przerwy falą nieskończoną,
Ze skrwawionemi stopy zdepczcie ścieżki strome.
Łkań pełne serca, znajdźcie inne łono!

I nie ty, samotności, co ciszy wymową
Kołysałaś mnie dzieckiem na piaskach wybrzeża,
To przeznaczeń pobudka muzyką bojową,
Jak wtedy, tak i teraz w sercu mem uderza!

Ona brzmi w niem bez przerwy, dźwięczy i wybucha,
Jakby odgłos komendy, wiodąc w nowe boje.
Brzmij, głosie wszechpotężny, dźwięcz, każdy cię słucha,
Dla cię duch grobów ciemnych rozsadza podwoje.

Do słońc dalekich idźmy w kajdanach cierpienia,
Myślą, bólem, miłością przeznaczeń dokonać
I, karmiąc się męczarnią ludzkiego istnienia,
Żyjmy!... gdy nie możemy zapomnieć, ni skonać.



SPIS RZECZY.

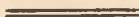
	Str.
Moja pieśń	I
Do Kolegów	2
Z pieśni robotniczych	3
Piosnka majowa	4
W prosektoryum	5
Ach, ja nie mogę...	6
Z hyacyntów świeżą wonią	7
Do mojej wędkii	9
Modlitwa	10
Piosenka	11
Dwoistość	12
Z pieśni miłości	14
Digilitas purpurea	16
Jak błędny ogień	17
Modlitwa	18
Milczenie	19
Zbliżaliśmy się...	20
Z Ukrainy	21
Wiejski cmentarz	23
O, tylko słabi na tym świecie płaczą	25
W dalekiej stronie	26
Z pieśni nocy	27
Z nocy letnich	29
Baśń księżycowa	31

II

La Comedia	33
Siła tajemna	39
Ach, zrzuć raz tę maskę obojętną	40
Naprzód	41
W zaduszny dzień	43
W dzień zaduszny	45
Jest czas...	47
Chimera	48
Rondo	49
Piosnka zimowa	51
Tęsknota	52
Ach, wy mi się nie dziwujcie	54
Pieśń Wajdelotki	55
Z motywów jesiennych	57
Do Przyjaciół	58
Nigdyż	60
W noc zimową	61
BÓL	63
Ogniwa	68

PRZEKŁADY.

Amore e Morte	73
Ultra coelos	77



4. IV. 1912

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 331896



000-331896-00-0

